

CZUJĘ SIĘ PISARKĄ POLSKĄ Z KRWI I KOŚCI

– Z WIOLETTĄ GRZEGORZEWSKĄ

ROZMAWIA JOANNA KOSMAŁSKA

Joanna Kosmańska: Kiedy zapadła decyzja o wyjeździe z Polski?

Wioletta Grzegorzewska: W połowie czerwca 2006 roku, tuż przed wakacjami. Przyjechaliśmy z synem do męża, który już tutaj wcześniej mieszkał. Na moją decyzję nie wpłynęły jednak tylko względy rodzinne. Przyczyną nie były też względy ekonomiczne. W Polsce miałam pracę, z której zrezygnowałam przed przyjazdem. Byłam za to ciekawa Zachodu. Bardzo chciałam poznać ten kraj, jego poetów i pisarzy. Z Częstochowy, czyli dość dużego miasta, przeprowadziłam się do małej miejscowości Wootton Bridge: jeden warzywniak, jeden sklep. Na początku nie mogłam się tam odnaleźć. Zamieszkałam z polskimi emigrantami, których wcześniej nie znałam. Było to dość trudne doświadczenie: wiele osób o różnym statusie społecznym skupionych w jednym budynku. Na początku wszyscy mieliśmy problemy finansowe, szukaliśmy pracy. Potem okazało się, że jestem w ciąży. Po roku mieszkania w tym wspólnym domu przeprowadziłam się na przedmieścia Ryde, a później do centrum.

J.K.: Pamiętasz swoje pierwsze wrażenia po przyjeździe do Wielkiej Brytanii?

W.G.: Przyjeżdżając do Wootton Bridge, nie spodziewałam się diametralnych zmian, zakładałam, że nadal będę prowadziła aktywne życie literacko-kulturalne. Mój znajomy mieszkał wcześniej w Londynie, gdzie uczestniczył w różnych slamach, zjazdach poetów i spotkaniach literatów. Sądziłam, że w całej Anglii będzie podobnie. Rzeczywistość okazała się inna. Prowincja angielska nie zmieniła od czasów Larkina, a nawet Virginii Woolf, która zresztą na prowincji się utopiła. Wygląda tak, jak ją oboje opisywali. Zaskoczyły mnie niezmiennie krajobrazy inkrustowane owcami, festiwale czosnku i pomidorów. W moim małym wiktoriańskim miasteczku życie toczy się bardzo

Prowincja angielska nie zmieniła od czasów Larkina, a nawet Virginii Woolf, która zresztą na prowincji się utopiła. Wygląda tak, jak ją oboje opisywali.

Wioletta Grzegorzewska

wolno, w rytm pojawiającej się i znikającej cieśniny Spithead. Lubię taki świat, chociaż czasami czuję się odizolowana jak Virginia i mam ochotę stąd uciec. Ale zostaję. Może dlatego, że – jak zresztą napisałam w ostatnim zdaniu *Notatnika z wyspy* – kiedy płynę cieśniną do Ryde, mam wrażenie, że płynę do domu. Zadowolona jestem już tutaj.

J.K.: Wrócisz kiedyś?

W.G.: Nie wiem. Tutaj urodziła się moja córka, a nastoletni syn chce tu zostać i studiować. Decyzja nie należy tylko do mnie. Poza tym nie mam za bardzo miejsca w Polsce, gdzie mogłabym wrócić.

J.K.: Jak postrzegasz Brytyjczyków?

W.G.: Patrzą na Brytyjczyków tak samo jak na Polaków. Są różne środowiska, są różni ludzie. Mam jednak wrażenie, że Brytyjczycy, przynajmniej na południu Anglii, są bardzo ciepli. Nie wiem, na ile jest to gra pozorów, ale miło się z nimi przebywa. Zaskoczyło mnie natomiast rozwarstwienie w brytyjskim społeczeństwie. Widać u nich wciąż silny podział klasowy. Pracując w restauracji, miałam okazję obserwować na co dzień zderzenie klasy średniej i niższej, nawet w myśleniu. Byłam też zdumiona hedonizmem Brytyjczyków. Ludzie nastawieni są głównie na konsumpcję, nawet rozmowę często zaczynają pytaniem o zarobki. Ponadto społeczeństwo na wyspie Wight, w odróżnieniu od reszty kraju, wydaje się bardziej jednolite. Kobiety szybko wychodzą za mąż i rodzą dzieci. Popularne są wielodzietne rodziny. Co ciekawe, część z nich od dwóch pokoleń żyje z zasiłku. W porze pracy zwyczajnym widokiem są rodzice na placu zabaw – ojcowie i matki razem.

J.K.: A co Brytyjczycy sądzą o Polakach?

W.G.: Pytałam kilka osób na wyspie Wight i najczęstsza odpowiedź, jaka padła to: „My nie znamy Polaków”. Potwierdzałby to fakt, że Fryderyk Chopin i Maria Curie są ich zdaniem Francuzami. Tak jak niewiele wiedzą o Libańczykach, tak i niewiele wiedzą o Polakach, ale przyjmują nas serdecznie. Wyspa jest regionem turystycznym i po prostu brakuje rąk do pracy. Polacy wypełniają tę lukę. Jeżeli więc już ktoś odważy się wystawić nam cenzurkę, oceniają nas jako bardzo pracowity i sprytny naród.

J.K.: Zauważyłaś wśród Brytyjczyków zainteresowanie polską literaturą?

W.G.: Polską literaturą interesuje się głównie środowisko naukowe. Wśród zwykłych obywateli zainteresowanie budzą jedynie polskie książki dotyczące odbioru Wielkiej Brytanii przez najnowszą falę emigracji. Na przykład wydana po angielsku powieść *Madam Mephisto* A.M. Bakalar zebrła dużo blogowych recenzji, akcentujących obraz Wielkiej Brytanii widzianej oczami imigrantów.

J.K.: Czy nowa rzeczywistość wpłynęła na twoją twórczość?

W.G.: Sześć lat na emigracji może wydawać się długim okresem, wciąż jednak nie nabrałam dystansu do tego świata. Nadal się go uczę. Trudno to jeszcze

ocenić, ale mam wrażenie, że moje doświadczenia w nowej rzeczywistości miały ogromny wpływ na to, co piszę. Na nich opiera się *Notatnik z wyspy*, moje *silva rerum*. Od czasu przyjazdu do Rydy motywy wody ciągle powtarzają się w mojej poezji. To, że jestem otoczona morzem, bardzo mnie odpręża. Mniej muzyka, mniej galerie, ale właśnie natura tej wyspy bogatej w skamieniałości dinozaurów. Uwielbiam wędrówki po jej dzikich zakątkach. Najpiękniejsza trasa wiedzie wzdłuż wijących się pól golfowych do benedyktyńskiego klasztoru Quarr Abbey. Ciekawym doświadczeniem okazało się też przebywanie gdzieś „pomiędzy”: pomiędzy językami, pomiędzy krajami, pomiędzy kulturami. Życie emigranta jest bowiem funkcjonowaniem na jakimś dziwnym pograniczu. Przebywam w środowisku nie tylko Brytyjczyków, ale też emigrantów z całego świata. Te doświadczenia bardzo pozytywnie wpływają na twórczość.

J.K.: Wydaje się, że to funkcjonowanie „pomiędzy” wpływa również na język.

W.G.: Zdecydowanie tak. Moje potyczki językowe opisuję w wierszu „Lektorzy”. Przyjechałam na wyspę Wight, żeby zobaczyć ten świat. Nie planowałam nigdy emigracji i nie znałam angielskiego. Teraz czytam brytyjskie książki i bardzo dobrze rozumiem tekst pisany. Natomiast nadal mam problemy z mówieniem. To zderzenie dwóch języków i silna bariera językowa, o dziwo, okazały się inspirujące.

Z drugiej strony odczuwam ciągły niedosyt polskiego. Pisząc, potrzebuję kontaktu z żywym językiem. Dlatego staram się jak najczęściej oglądać polskie media, choć brakuje mi na to czasu. Zauważam bowiem przemiany w języku. Odwiedziny młodszego brata uzmysłowiły mi, że on już mówi inaczej. Były sytuacje, w których nie rozumiałam pewnych wyrazów, na przykład słowa „blachara”. Byłam zszokowana. Podczas jego siedmiomiesięcznego pobytu staraliśmy się nadrobić moje braki w slangu.

Dopiero na emigracji uświadomiłam sobie też, jak istotne są dla mnie doświadczenia z przeszłości. Kiedy wyjechałam z kraju, moje rodzinne historie stały się nagle bardzo ważne, a świat jurajskiej wsi i kamiennego domu nad stawem, w którym się wychowałam, okazał się wart opisania. Poczulałam potrzebę opowiedzenia o tym prozą. Tak powstał zbiór opowiadań pod tytułem *Guguły*. Chętnie słucham teraz wszystkich rodzinnych opowieści i wstuchuję się w język. Moja rodzina posługuje się lokalną gwarą, mają zupełnie inny słownik. Używają na przykład takich słów jak „guguły”, czyli niedojrzałe owoce, czy „haraty”, oznaczające nocne wypady na owoce do sadu sąsiada.

J.K.: Kolejnym powtarzającym się motywem w twojej twórczości jest pamięć.

W.G.: Zauważyłam, że bardzo często używam słowa „pamięć” w tytułach i w wierszach. Powracam w przeszłość, ale czas nie biegnie u mnie liniowo. Nie ma czegoś takiego jak przeszłość, przyszłość i teraźniejszość. W mojej pamięci to są pomieszane klisze rzutnika. Raz wyjmuję jedną kliszę, by napisać o grudniu 1981 roku, potem wyjmuję drugą kliszę i wyświetlam wydarzenia, na przykład,

Wioletta Grzegorzewska

kiedy „chmura z Czarnobyla spadła na pastwiska, nabrzmiały tarczyce”. Na tej zasadzie powstał ostatni wybór wierszy *Pamięć Smieny*. Smiena była radzieckim aparatem, który tak naprawdę nie miał pamięci. Jeden z krytyków powiedział, że prognozuję przeszłość. Zgodzę się z nim. Zdjęcia, klisze są istotne w tym procesie. Zajmuję się prześwietlaniem tego, co się wydarzyło, nadawaniem nowych znaczeń.

J.K.: Gdzie jeszcze szukasz inspiracji?

W.G.: W twórczości innych pisarzy, ale przyznam, że nie mam mistrzów. Uwielbiam Kafkę, Schulza, Zweiga, Quignarda. Lista autorów jest długa. Ostatnio studiowałam jeszcze raz literaturę polską, szczególnie krótkie formy. Chciałam opowiedzieć pewne rzeczy w formie noweli, obrazka, opowiadania. Wzięłam na warsztat takich pisarzy jak Hłasko czy Iwaszkiewicz. Uczyłam się konstruować fabułę od Haupta z jego rozmytym światem.

J.K.: Do jakich czytelników kierujesz swoją twórczość?

W.G.: Jak pisał Bereza, jesteśmy ukształtowani przez kulturę i język, i nie da się tego przeskoczyć. Pisarz nie może stwierdzić, że teraz będzie pisał dla Brytyjczyków, a teraz napisze coś dla Polaków. Literatura jest uniwersalna, dlatego nie można narzucić jej odbiorcy. Wiem, że jeśli opublikuję wiersze po angielsku, to otwieram się na nowych czytelników. Zawsze bardzo się cieszę, jeśli mój wiersz zaistnieje w innym języku. Dlatego publikuję po polsku i po angielsku, w kraju i zagranicą, jeśli mi się to uda. Z książek, które napisałam na emigracji, dwie wydałam w Polsce, jedną w Kanadzie i jedną w Londynie.

J.K.: Czy jesteś aktywna literacko w Internecie?

W.G.: Prowadzę blog *Pamięć Smieny*, w którym znajdują się głównie moje przemyślenia związane z twórczością. Na początku emigracji dużo publikowałam na portalach warsztatowych, takich jak Nieszufłada, dlatego że była to jedyna ścieżka do polskich czytelników. Teraz od tego odchodzę, ponieważ spotkałam się z plagiatem. Kiedyś na jednym z portali opublikowałam swój wiersz pod pseudonimem Viola Greg, a pewna dziewczyna lekko go zredagowała i wysłała do „Opcji”. Mój wiersz ukazał się wcześniej już w „Kresach” i we „Frazie”, miałam więc dowód na to, że to ja jestem autorką tekstu. Po tym fakcie ograniczyłam jednak publikacje w sieci. Jestem natomiast obecna na portalach społecznościach. Z mojego punktu widzenia emigrantom brakuje kontaktu z ludźmi z kraju i szczególnie uaktywniają się na stronach w momencie wyjazdu. Ja też po przyjeździe chodziłam do kafejki przy kościele baptystów, bo to było moje okienko na Polskę. Nie było telewizji, nie miałam zbyt wielu znajomych, więc Internet tworzył moją przestrzeń towarzyską. Natomiast teraz wszelkie liternety, facebooki i inne portale przeszkadzają mi w pisaniu, rozpraszają uwagę.

J.K.: Określiłabyś siebie jako pisarkę emigracyjną?

W.G.: Czuję się pisarką polską z krwi i kości, bo posługuję się językiem polskim. Poza tym innym językiem nie myślę i nie śnię. Czasami tylko zdarza mi się po angielsku. Nie powiedziałabym spontanicznie, że jestem pisarką emigracyjną. Może po przemyśleniach, ponieważ fizycznie przebywam w Anglii. Cały czas funkcjonuję jednak w języku polskim. Do tego stopnia mnie to angażuje, że jak piszę przez dłuższy czas, to później muszę uruchomić przekładnię języka w głowie, żeby komunikować się po angielsku w pracy. Bardzo się jednak o mój polski boję, ponieważ czasami automatycznie posługuję się językiem Ponglisch. Zbyt rzadko jeżdżę do kraju ze względu na sytuację osobistą – mam dwoje dzieci, pracę, obowiązki. Mój język się izoluje. Maliszewski napisał, że na szczęście potrafię go czymś wypełnić, ale tworzę w jakiejś dziwnej pustce. Zgadzam się z tym.

J.K.: Jakie różnice dostrzegasz pomiędzy brytyjskim i polskim światem literackim?

W.G.: Czasem wydaje mi się, że w Anglii wszystko jest poukładane, skodyfikowane, odtąd dotąd. W Polsce życie literackie było bardziej spontaniczne, zwariowane, i miało to swój urok. Z dnia na dzień powstawały niezależne pisma literackie, jak „Brulion” po 1989 roku. W Anglii nie widzę tej siły twórczej, nie kiełkują nowe zjawiska, wszystko wydaje się wtórne. Pisarze zatrudniają agenta, który trzyma pieczę nad ich karierą. Gdy chciałam przetłumaczyć Robina Robertsona, to udało się do niego dotrzeć przez redaktora OFF_press, ale od razu zostałam poinformowana, że wszystkie ustalenia należy poczynić z agentem. Anglia wydaje mi się zbyt poukładana w tych sprawach, a przecież trzeba być niezależnym, żeby się odnaleźć w swojej twórczości.

J.K.: Z jakim środowiskiem czujesz się najsilniej związana?

W.G.: Nie czuję się częścią środowiska w Ryde, ponieważ nie mam żadnego kontaktu z literatami na wyspie. Słyszałam tylko, że odbywały się spotkania poetów w bibliotece. Nie czuję się częścią angielskiego środowiska literackiego ze względu na język. Poniekąd jestem związana z Polonią w Kanadzie i w Wielkiej Brytanii. Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie wydał mój tomik *Inne obroty*, a autorzy związani z wydawnictwem OFF_press pomogli mi zaistnieć w Londynie. W niewielkim stopniu czuję się częścią jakiegokolwiek środowiska. Stwierdzam to z pewnym smutkiem, bowiem w kraju byłam silnie związana ze sceną literacką południowej Polski. Prowadziłam audycję literacką, organizowałam warsztaty, festiwale, konkursy, wyjazdy. Tutaj kompletnie straciłam z tym kontakt. Stałam się outsiderką i emigracja ten stan pogłębiła.

J.K.: Sądzisz, że współcześnie możemy mówić o polskiej literaturze emigracyjnej?

W.G.: Nie wiem, czy nie jest za wcześnie, żeby to oceniać, ale na pewno coś zaczyna się pojawiać. Sądzę, że można byłoby znaleźć kilkoro autorów, którzy są w stanie tworzyć współczesną literaturę emigracyjną istotną na całym świecie.

W Danii tworzy Ewa Brzoza-Birk i Grzegorz Wróblewski, w Belgii Grażyna Plebanek, w Norwegii Roman Kaźmierski, w Londynie wiele osób skupia się wokół OFF_press, wśród nich autorzy przed debiutem, którzy też piszą ciekawe rzeczy. Niektórzy opisują nowe doświadczenia emigracyjne, inni kontemplują język. Jest wielu pisarzy, ale brakuje im forum w formie pisma, gdzie mogliby publikować, tak jak w „Kulturze” Giedroycia. Profesjonalnie prowadzone pismo po

polsku, ewentualnie z wkładkami angielskimi, zjednoczyłoby nas. Umożliwiłoby również wyłowienie dobrych tekstów ginących w olbrzymim morzu poetyzowania. Pokazałoby tę nową falę, która obecnie jest bardzo rozproszona.

Sądzę, że można byłoby znaleźć kilkoro autorów, którzy są w stanie tworzyć współczesną literaturę emigracyjną istotną na całym świecie.

J.K.: Czym różni się najnowsza literacka fala emigracyjna od tych poprzednich?

W.G.: Inna przyczyna leży u źródeł tej powojennej, politycznej fali, zgromadzonej wokół wspomnianej „Kultury” Giedroycia,

a zupełnie inne podłoże ma obecna emigracja; i upieram się, że nie jest ono wyłącznie ekonomiczne. Wielu autorów uciekło z kraju ze względu na poglądy, na przykład podróżnicy, autorzy homoseksualni czy feministki. Często spotykam się z opinią członków nowej fali, że oni chcą odbić się od kraju, który jest w dziewięćdziesięciu procentach katolicki i trudno w nim zaistnieć ruchom innym niż te społecznie akceptowane.

J.K.: Z jakim krajem wiążesz swoją przyszłość pisarską?

W.G.: Pomiędzy Polską a Wielką Brytanią.

Rozmowa jest częścią projektu Polska literatura emigracyjna w Irlandii i Wielkiej Brytanii po roku 2004 nr DEC-2011/01/B/HS2/05120, finansowanego przez Narodowe Centrum Nauki w Krakowie, realizowanego na Uniwersytecie Łódzkim.